

Najbardziej bałem się strzałów...

- wojenne wspomnienia młodego partyzanta

Wojna to czas kojarzony przez wielu ludzi z bólem rozstania z bliskimi, serią tragedii i śmiercią.

W każdym, kto przeżył wojnę, trwale odcisnięte są w pamięci chwile z tamtego czasu.

Wielu naocznych świadków żyje do dziś i przekazuje ustnie swoją wojenną historię.

Takiej opowieści wysłuchałam w rozmowie z 86 – letnim dziś panem Czesławem Górą, mieszkańcem Majdanu Sopockiego Pierwszego.

Kiedy wybuchła wojna pan Czesław miał 15 lat.

- Pamiętam, Niemcy przyszli do wsi gdzieś około 10 września rano. W przeddzień wieczorem nadleciał wywiadowczy samolot – myśliwiec. Wszyscy domyślali się, że to niemiecki wywiad. Kiedy był mniej więcej między Majdanami, nasi zaczęli do niego strzelać. Ten zniżył lot ponad lasem i zniknął.

2 lipca 1942 r. – działalność w organizacji A K.

Pan Góra wspomina:

- Cały czas było słyhać, że będzie akcja przeciw partyzantom. Część chłopów opuściło wieś. Ci, którzy pozostali, zostali zabrani przez Niemców. Nikt nie próbował uciekać, bo wiadomo, jakby to się skończyło. 1 lipca rozeszła się wieść, że oddziały partyzanckie mają skoncentrować się na Rocha (Krasnobród).

Świtem o godzinie drugiej może trzeciej nad ranem od Zamościa widać było nadjeżdżające kolumny samochodowe. Siwiuteńko zrobiło się od Niemców. Nasz dowódca nie był przygotowany na taką liczbę żołnierzy przeciwnika. Nie było już czasu na dalszą koncentrację partyzantów, zarządził, że każdy wraca do domu na własną rękę.

Szedłem razem ze Stanisławem Solisem przez Łozowicę. To był lipiec. Gorąco i wszędzie same zboża. Słońce paliło niemiłosiernie. Szliśmy tymi polami i nasłuchiwalismy, czy gdzieś nie ma Niemców. Droga dłużyła się, pot spływał po plecach a i głód dokuczał. Kiedy doszliśmy do drogi w Ciotuszy, usłyszeliśmy warkot samochodów. To autokolumna, Niemcy. Zauważyli nas, zaczęli strzelać. My do potoku. Tam weszliśmy do wody, zniżyliśmy głowy do samego lustra i czekaliśmy. Postrzelali, nikogo na szczęście nie trafili. Skóra na nas ścierpła.

Umówiliśmy się ze Stachem, że będziemy teraz wracać pojedynczo, żeby nie rzucać się w oczy. Szczęśliwie dotarliśmy do domu.

Pamiętam do dziś, jaki byłem wtedy głodny.

Wpadłem do kuchni i złapałem do ręki pieroga z kaszą. Wypiłem trochę mleka z kubka, patrzę, a Stach na mnie już czeka. Dalej w drogę. Do starej szkoły szliśmy powoli. Dalej lasem biegiem aż do kamieniołomów w Nowinach. Tam nasi łamali kamień, a Niemcy wywozili go

do Zamościa na lotnisko. Z naszej wioski pracowało tam dwóch – brat Stacha Solisa- Bolek i Tomek Pakuła. Kiedy byliśmy w kamieniołomach, gdzie ładowano kamień na wózki, przybiegła jakaś Pasturka. Powiedziała, żeby uciekać, bo Niemcy idą. Widziałem, jak wychodzą z lasu i idą po obu stronach kopalni. Krzyknąłem do swoich: Uciekajmy! - i po przymie zacząłem uciekać do lasu. Zauważyli to Niemcy. Otworzyli ogień. Tylko gwizdało nad głową.

Tomek i Bolek nie chcieli uciekać. Bali się. Dopiero później próbowali ukryć się w zbożu. Nie zdążyli. Zostali zakłuci bagnetami. Szukano ich około 10 dni, aż w końcu pastuchy wyczuli, że w zbożu coś śmierdzi. Kiedy ich wyjęli – pamiętam – ich ciała były nabrzmięte i czarne jak smoła. Pogrzebali ich pod drzewem. Dopiero po wojnie pochowali na cmentarzu.

W poszukiwaniu swoich placówek szliśmy dalej, aż doszliśmy pod same Osuchy. Tam spotkaliśmy kilku gospodarzy z tej miejscowości. W lesie stało ze sześć fur z pierzynami. Uciekali przed Niemcami. My też zawróciliśmy. Nigdzie po drodze nie spotkaliśmy swoich. Trochę powoli, trochę biegiem przez lasy, przez pola dotarliśmy do Oseredka.

Blisko torów powiedzieli nam, że tutaj obstawieni są Niemcy. Zaczynał padać deszczyk, zrobiła się mgła. Autokolumna waliła od strony Józefowa. Z lasu dobrze widać było aureole od świateł. Chcieliśmy się dowiedzieć, co się dzieje. Podeszliśmy pod samą wioskę, a tam mnóstwo samochodów i Niemców z cygarami. Słychać było płacz dzieci i szczekanie psów. Wycofaliśmy się.

Trzeba było wracać do domu, ale jak? Przez tory? Tam przecież Niemcy. Nie było wyjścia. Trzeba było po raz kolejny zaryzykować. Może znowu się uda? Doszliśmy do torów. Były żniwa, zboże „wylegnięte”, nie było gdzie się skryć. Położyłem się w zbożu i czekałem, kiedy przejedzie pociąg. Nadjechał. Światła miał zamalowane, tylko na długość zapalniczki świeciły się, żeby nie było z daleka widać. Liczyłem: lokomotywa, węglarka, wagon pierwszy, drugi, trzeci i od razu przeleciałem przez tor, a tam kamień, tłuczeń i zboże. Wpadłem w to zboże poobijany, a Niemcy zaczęli strzelać z rakiet na oślep, po omacku. Zacząłem uciekać.

Wpadłem do rowu z wodą. Było mi już wszystko jedno. Cały byłem mokry, ale żywy.

Kiedy byłem na polach blisko Majdanu, strach trochę minął. Wróciłem, kiedy pomyślałem, że między kolejniami na drodze mogą ukrywać się Niemcy. Na szczęście nikogo tutaj nie było.

Gdy przechodziłem koło gminy w Majdanie, ponownie ogarnął mnie strach. Mogli tutaj przecież spać Niemcy. Po domach nie nocowali, bo panicznie bali się tyfusu.

Byłem wreszcie blisko domu. Podeszedłem pod swój płot, pod okno i w umówiony sposób zapukałem. Drzwi otworzyła mi matka. Byłem szczęśliwy, że mogę wreszcie zdjąć mokre ubranie, które poobcierało mi ciało pod pachami i w pachwinach. Dzisiaj pamiętam jak piekło. Wziąłem kozuch, najadłem się i dalej do lasu. I tak w kółko...

- Nienawidziłem Niemców.

Najpierw zabrali mi na roboty do Niemiec brata, a później zabili mi ojca. Było to 12 czerwca 1942 roku. Nie da się opowiedzieć. Byłem wściekły na Niemców i na siebie, że nie ostrzegłem, że nie dowiedziałem się, co się szykuje, że nie pomogłem. Razem z ojcem

rozstrzelali wtedy ośmiu chłopów m.in. Byrę, Buczkę, Pardusa, Makochona, Seńka. Ktoś ich wydał. Kto wie, czy nie byli to Ukraińcy. W nocy Ruskie wysadzili pociąg na końcu Majdanu. Rano przyszli Niemcy, zwołali tych ośmiu przed gminę, kobietom z dziećmi kazali iść do domu, żeby nie było krzyku. Podobnie było w Ciotuszy Starej. Tam w odwecie za spalony z prowiantem samochód niemiecki zebrano wszystkich napotkanych chłopów. Ostatecznie zabrano tylko mężczyzn w średnim wieku. Zapakowano do samochodu i w eskorcie siedmiu Niemców odwieziono do Tomaszowa na plac gimnazjum, obecnie plac LO. Niektórzy zaczęli uciekać. Jednym się udało, innym nie. Ostatecznie siedmiu z nich zastrzelono.

Mnie na roboty nie zabrali, bo się ukryłem.

Było to zimową porą. Siedziałem wtedy na łóżku. Pamiętam, że na ścianach była wilgoć, matka kazała mi odciągnąć łóżko bardziej na środek. Kiedy zobaczyłem Niemców, szybko przetoczyłem się za łóżko. Brat nie miał tyle szczęścia co ja.

Kto się nie ukrywał, każdego zabierali. Pytali tylko czy zdrowy. Jeżeli ktoś chorował na tyfus, to zostawał. Jak ognia bali się tej choroby. Później ludzie specjalnie zawieszali na domach kartki z napisem tyfus. Tam Niemcy nie zaglądali.

Wysiedlenie - początek lipca 1943 roku.

- Niemcy okrążali wieś nocą. Świtem wchodzili do wsi i wyginali chłopów na ulicę. Dawali trochę czasu na zabranie ubrań i jedzenia. Kto był zdrowy, szedł piechotą, kto ranny, jechał na furmance. Wszystkich zabrano do Długiego Kątu na stację. Stamtąd pociągami rozwożono do Zwierzyńca i Zamościa.

Tyle co wróciłem z lasu z akcji. Powiedziałem matce, że idę na strych i trochę położę się. Wcześniej musiałem pokazać się Ukraińcom, że jestem, aby nie było podejrzeń co do mojej działalności w AK (Ukraińcy wydawali takich ludzi Niemcom). Tyle co się położyłem, matka krzyknęła, że Niemcy są koło Tytonia (dzisiaj Kwiatkowskiego). Na ucieczkę z małymi siostrami było za późno. Powiedziałem matce, aby pootwieriała wszystkie drzwi w domu, szafy, kredensy, a sama z dziećmi schowała się do schronu, pod podłogę. Miało to oznaczać, że wszystkich z tego domu zabrano.

Sam do schronu nie chowałem się. Cały czas byłem w ruchu. Musiałem wiedzieć, co we wsi się dzieje.

Wyszedłem na ulicę. Spotkałem Dzidę Mariana z żoną i dziećmi. Niósł ze sobą pierzyny i poduszki. Kierował się w stronę Kotrzyska. Uciekał przed Niemcami.

Z daleka na furmance od razu rozpoznałem Felka Burdę. Miał skaleczoną i zabandażowaną nogę, dlatego jechał na wozie. Za nim szło dwóch Niemców i kilkunastu naszych ludzi. Kobiety też zabierali. Zawracali między Knapem a Paską. Kilku Niemców skryło się nad potokiem w jałowcach. Widziałem ich, bo tamtędy chciałem pójść do Solisa na Kędrawkę, dowiedzieć się czegoś więcej. Też mnie zauważyli. Celowali w moją stronę, ale szczęśliwie w porę upadłem na ziemię.

Białą nogę na wozie było widać z daleka. Kiedy wszyscy zbliżali się do mostu, pobiegłem

do chałupy i w umówiony sposób zastukałem w podłogę, by się upewnić, że wszystko jest w porządku.

By uniemożliwić Niemcom transport kolejowy, partyzanci podjęli się akcji wysadzania torów. Skrzynie z trotylem były bardzo ciężkie, postanowiono przewozić je na koniach. Wykradano je Ukraińcom. Akcje odbywały się nocą. Po wysadzeniu rozjazdów pociągi nie kursowały przynajmniej przez trzy miesiące.

- Najbardziej bałem się strzałów.

Widziałem na własne oczy śmierć ojca.

Jedna kula dosięgła też i mnie. Do dzisiaj kiedy patrzę na bliznę na podudziu, wracają wspomnienia. Tego, co się przeżyło w czasie wojny, nie da się opowiedzieć. To jest w człowieku do dziś.

Pan Czesław jakby wzdryga się, zawiesza głos. Nie zadaję więcej pytań . Nie chcę przywoływać więcej zdarzeń, nie chcę na nowo ranić.

Martyna Dziurbas